

Czerwiec 1939

Papierowe łódki powoli płynęły z nurtem Wisły. Zaciekawiona czereda z ekscytacją przyglądała się wyścigowi, którego zwycięzca mógł zażądać od przegranych wszystkiego, co zechciał. Wysoka stawka sprawiała, że kilkuletnie gagatki głośnymi okrzykami dopingowały swoje statki, licząc na spektakularną wygraną. Na półmetku rywalizacji trzech jej uczestnicy przekonywali pozostałych, jakoby ich konstrukcja znajdowała się na czele i już szykowali się do wyznaczenia kolegom pierwszego, koniecznego upokarzającego zadania.

Zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej banda gimnazjalistów puszczała kaczki, z zapalem odliczając ilość odbić idealnie płaskich kamieni. Dotychczasowy lider zanotował ich aż pięć i teraz puszył się z dumy. Przy okazji nie szczędził cierpkich uwag kolegom nie potrafiącym zbliżyć się do jego wyczynu.

Pierwsze dni wakacji przywiodły na krakowską plażę Krokodyla dziesiątki uczniów świętujących zakończenie roku szkolnego. Położona w sąsiedztwie klasztoru Norbertanek, na tyłach ulicy Flisackiej, cieszyła się niesłabnącą popularnością odkąd w lipcu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego wydzierżawiło ją od miasta. Wasypano piaskiem brzeg, skonstruowano drewniane szatnie, ustawiono profesjonalny sprzęt do gimnastyki, nie zabrakło nawet radiowęzła. Dla spragnionych aktywności fizycznej zorganizowano boisko do siatkówki, a przy wejściu dbano, by nikogo nie gorszył osobnik w nieodpowiednim stroju kąpielowym.

Niedaleko znajdowała się również część dla naturystów, ale ani Wiktor, ani jej przyjaciółki nie były zainteresowane podobnymi widokami. Zresztą gdyby rodzice dowiedzieli się, jak ich latorośle spędzają letni czas spędzają, w mgnieniu oka zabroniliby im wypraw nad rzekę.

Dziewczęta znacznie bardziej doceniały urok Krokodyla niż choćby plaży oficerskiej urządzonej tuż przy moście po stronie Dębnik czy tej za rogatką zwierzyniecką, do której dochodziło się od strony ulicy Księcia Józefa.

To tutaj zbierali się przecież młodzieńcy z dopiero co sypiącym się wąsem pod nosem, poważni studenci z Żaczka, na których widok Sara z Justyną czerwieniły się po same cebulki włosów. Nie chciały więc słyszeć o przeniesieniu się w inne miejsce, choćby bardziej ustronne, gdzie nie przeszkadzałby gwar głośnych rozmów czy nieustający śmiech chlapiącej się wodą dzieciarni.

Dziś Wiktoria zrezygnowała z towarzystwa koleżanek. Siedziała na kocu z wyciągniętymi nogami i z zamkniętymi oczami wystawiała twarz do słońca. Leżący obok Bruno poszukał jej dłoni i splótł palce dziewczyny ze swoimi. Rozluźniony, rozkoszował się nie tylko rozpoczynającym się latem. W obecności Wiktorii czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

– Nad Wisłą zgromadziła się niegdyś osobliwa menażeria – zaczęła snuć opowieść Wiktoria. – Pewnego dnia jej właściciel wypuścił krokodyla do wody, aby ten ochłodził się w wartko płynącej rzece. Zwierzę, poczuwszy wolność, nie wróciło. Zaszyło się w zaroślach w Łęgu koło Mogiły. Okolicznym mieszkańcom wnet zaczęły znikać kaczki, szybko zatem rozeszła się wieść, jakoby po latach pojawił się smok wykluty z jaja w Smoczej Jamie. Czterech myśliwych postanowiło uwolnić przerażonych ludzi od gada. Dopiero Waław Ancyż ustrzelił ogromnego krokodyla. Już na miejscu okazało się, że monstrum było aligatorem o długości ponad dwóch metrów i od tamtego czasu można je oglądać w Muzeum Zoologicznym.

– Już ze sto razy słyszałem tę historię. – Strzelecki usiadł, poprawił pogniecioną koszulę, po czym cmoknął Wiktoria w policzek. – Ale z twoich ust brzmi najlepiej.

– Hej! – zaperzyła się, jednocześnie się rumieniać. – Jeszcze ktoś zauważy.

– Najlepiej, żeby wszyscy zobaczyli. Wówczas nikt nie będzie miał wątpliwości, że jesteś moja.

Wiktoria uśmiechnęła się wstydliwie. Nikomu, nawet przyjaciółkom, nie powiedziała o związku z młodym mężczyzną. Jego rodzice nie uważali córki Antoniny i Tadeusza, od lat prowadzących ochronkę dla sierot, za właściwą partię dla jedyne go syna. Bruno kontynuował rodzinną tradycję adwokacką. Już na studiach zaczął pracę w kancelarii ojca, którą wcześniej prowadziły dwa pokolenia Strzeleckich. Jako jedyny spadkobierca nazwiska z przymusu dostosował się do oczekiwań całego klanu. Wszystkie egzaminy zdawał na najwyższe oceny, o czym profesorowie nie omieszkali informować głowy rodziny podczas kameralnych przyjęć urządzanych przez jego żonę dla członków palestry i ich drugich połówek.

Wydział prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego Bruno ukończył z wyróżnieniem, jednak w przeciwieństwie do bliskich nie puchł z dumy. Gdyby od niego zależał wybór życiowej drogi, postawiłby na wojsko. Niestety, w kwestii własnej przyszłości nie miał wiele do powiedzenia. Poza zawodem za placami młodzieńca zdecydowano o jego ożenku z dziewczyną urodzoną w lekarskiej rodzinie, której dziadek prowadził znakomicie prosperującą klinikę dla najbogatszych mieszkańców miasta. Ich małżeństwo określano jako inwestycję na przyszłość dla obu rodzin. Z uczuciami młodych nie liczyli się wcale. Nie słuchali Bruna powtarzającego, że nie zrezygnuje z Wiktorii. Nie dopuszczali do głosu Elżbiety marzącej o kontynuowaniu nauki i odwleczeniu w czasie zamążpójścia. Bergerowie uznali, że matura jej wystarczy i natychmiast ucinali temat.

Za to matka Wiktorii nie pozwalała jej na spotkania z chłopcami. Twierdziła, że panna jest jeszcze za młoda na miłostki i powinna skupić się na zdobyciu wykształcenia. Antonina Gajewska przez dwie dekady opieki nad porzuconymi dziećmi naoglądała się wielu dramatów ich niedoświadczonych, naiwnych rodzicielek. Wiele młodych kobiet zachłysnęło się miłością do nieodpowiednich mężczyzn. W efekcie zachodziły w niechciane ciąży i narażały się na społeczny ostracyzm. Obawiając się odrzucenia i przypięcia łątki nieobyczajnej, oddawały

dzieci do sierocińca. Jeśli kiedykolwiek żałowały postępuku, rzadko dawały to po sobie poznać. Antonina przestrzegała córkę przed pójściem w ich ślady. „Ucz się na cudzych błędach, powtarzała jak mantrę. Spójrz na maleństwa pozbawione matczynej czułości. Chyba nie zafundowałabyś swemu dziecku podobnego losu?”

– Nikt nie będzie miał wątpliwości, że jestem twoja? – spytała. – Twoi rodzice również? – odparła przekornie.

– Koniecznie dążysz do kłótni – burknął niezadowolony. Z powrotem opadł na koc. – Znasz sytuację. Wiesz, co się dzieje w moim domu. Chciałbym, żeby ojciec zmienił zdanie, ale jest nieprzejednany.

– Co zatem zamierzasz? – Wiktoria ledwie powstrzymywała się od płaczu. – Pojmiesz Elżbietę za żonę?

– Nigdy w życiu! – zaperzył się. Pociągnął Wiktorię na siebie, wywołując jej pisk. – Niech odbiorą mi pieniądze, wyrzucą na bruk, pozbawią kontaktu. Nie zrezygnuję z ciebie! – Na dowód pocałował ją namiętnie, gorsząc kilka starszych pań szukających miejsca na odpoczynek. – Jesteś wszystkim, co mam. Niczego więcej nie potrzebuję, wierzysz mi?

Wpatrywała się w jego płonące pożądaniem oczy i ufała każdemu słowu. Zakochana bez pamięci, nie wyobrażała sobie życia bez Bruna. Dotąd nie pojmowała, dlaczego w tłumie dziewcząt zwrócił uwagę właśnie na nią – szarą myszkę z wiecznie zamyślonym spojrzeniem, nieśmiałą introwertyczkę stroniącą od ludzi, ukrywającą się za książkami pilną uczennicę, która zawsze po lekcjach posłusznie wracała do domu i nie włóczyła się z koleżankami po kawiarniach.

Mówił, że zauroczyła go od pierwszego wejrzenia. Wiktoria kręciła nosem na jego wyjaśnienia. Wszak czerwieniła się na twarzy w nieodpowiednich momentach i zazwyczaj nie wiedziała, co powiedzieć, gdy ktoś rozpoczynał niezobowiązującą pogawędkę.

Bruno śmiał się w głos. Ukochanej brakowało pewności siebie. Nie dostrzegała tego, co widział on: blasku, który roztaczała wokół, szerokiego

uśmiechu obejmującego nie tylko usta, ale całe oblicze, piękna duszy oraz ciała, o którym marzył i śnił niemal co noc.

– Elżbieta także broni się przed małżeństwem. Stokroć bardziej wolałaby spędzać czas w uczelnianej ławie niż na przymiarkach sukni ślubnej.

Wiktoria odsunęła się od Strzeleckiego.

– Nie mówiłeś, że przygotowania do ślubu zaszły tak daleko – rzekła przestraszona. – Czyżbyście zaplanowali datę?

– Nie my – oznajmił smutno Bruno. – I moi, i jej rodzice spieszą się z uroczystością, jakby od tego zależały losy świata. Chcą, aby odbyła się przed wojną.

Dziewczyna otarła oczy wierzchem dłoni. Nastaly ciężkie czasy. O wojnie nie mówiono już w trybie przypuszczającym. Każdy, kogo choć trochę interesował los Polski, zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Hitler ostrzył zęby na Gdańsk, zwłaszcza po sukcesach związanych z aneksją Austrii i zajęciem Pragi. Niemcy dopiero się rozpędzali i tylko optymiści sądzili, że zatrzymał pochód swojej armii.

Zastanawiała się.

– Może nie dojdzie do najgorszego?

– Mówisz o ślubie czy wojnie? – Bruno się przekomarzał.

Wiktoria uderzyła go w bok.

– Nie żartuj. Nie jest mi do śmiechu.

Spoważniał. Objął dziewczynę i mocno przyciągnął do siebie, próbując dodać jej otuchy.

– Nie czekam na żadną z tych rzeczy. O ślub się nie martw, nie zmuszą mnie do złożenia przysięgi przed ołtarzem. Wprawdzie nie chciałbym narażać Elżbiety na ośmieszenie...

– A jednak obchodzi cię, co się z nią stanie – zachnęła się Wiktoria. Przyłgnęła do boku Bruna, nie po raz pierwszy napawając jego męskim

zapachem. Okoliczności oraz trudna rozmowa na szczęście ostudziły rozpalone emocje.

– Nic podobnego nie powiedziałem. Żadne z nas nie zasługuje na scenariusz najgorszy z możliwych. W tym zaś układzie cierpią trzy osoby. To ja jestem mężczyzną i to do mnie należy załatwienie sprawy w najmniej bolesny sposób. Zobaczysz, wszystko się ułoży – zapewnił mocnym głosem.

– Wojnie też zapobiegiesz? Polska szybko zwycięży. Miesiąc, może dwa i wrócimy do codzienności, prawda?

– Oby, kwiatuszk, oby. Z drugiej strony, warto przygotować się na każdą ewentualność.

Błado się uśmiechnął. Wiele razy powtarzał te utarte frazesy, zwłaszcza w obecności Wiktorii, lecz w ostatnich tygodniach stracił wiarę w szybkie zakończenie konfliktu. Wbrew krążącym w społeczeństwie opiniom, stan wojska nie był w połowie tak dobry jak przedstawiano. Nikt jednak nie prostował nieścisłości. W końcu należało podnosić morale wśród cywili.

Jedyna nadzieja w sojusznikach. Bez wsparcia Francuzów oraz Brytyjczyków walki potrwałby długie tygodnie i raczej nie ziszczały się plany o spokojnych świętach.

– Proszę, nie wywołuj wilka z lasu. Da Bóg, a unikniemy konfliktu. Przecież nie minęło jeszcze dwadzieścia lat od zakończenia poprzedniego. Kto przy zdrowych zmysłach dążyłby do kolejnej katastrofy?